

ROMAN MICHAŁOWSKI

<https://orcid.org/0000-0002-5443-589X>

Instytut Historii PAN, Warszawa

Na pytania postawione przez Redakcję „Kwartalnika Historycznego” spróbuję odpowiedzieć, opierając się na doświadczeniach historyka mediewisty, który rozpoczął studia w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego w 1967 r. i przez całe zawodowe życie pozostał związany z warszawskim środowiskiem mediewistycznym. Jest to zastrzeżenie ważne, ponieważ doświadczenia historyków innych specjalności albo pracujących w innych ośrodkach akademickich mogą być odmienne.

W moim odczuciu przełom polityczny lat 1989–1990 nie stanowił zasadniczej cezury w badaniach nad średniowieczem. Przede wszystkim nie uległa zmianie podejmowana przez uczonych problematyka. Jeżeli szukać pod tym względem czasu przełomu, to trzeba by się cofnąć do początku lat siedemdziesiątych XX w. Był to okres, kiedy ulegał relatywizacji paradygmat marksistowski, kładący jednostronny nacisk na problematykę społeczno-gospodarczą przy lekceważeniu tzw. nadbudowy, w szczególności zagadnień religijnych i ideowych. Warto zauważyć, że w tym samym czasie również w historiografii światowej zaczął się odwrót od problematyki gospodarczej. Młode pokolenie mediewistów warszawskich w latach siedemdziesiątych i później chętnie wybierało tematy dotyczące więzi grupowych i narodowych, ideologii, religii, historiografii i hagiografii, a jeżeli zachowało zainteresowanie klasyczną problematyką społeczną, to z tendencją do wyjaśniania tej sfery rzeczywistości poprzez odwołania do świadomości zbiorowej. Mistrzowie próby te akceptowali, a jeśli przejawiali rezerwę, to w postaci życzliwego sceptycyzmu. Redaktorzy czasopism publikowali artykuły będące owocem tych badań, a cenzura państwowa, która przecież istniała i była dokuczliwa, mało się problematyką średniowieczną interesowała. Trzeba też przypomnieć, że mediewiści nie natrafiali na motywowane politycznie przeszkody w dostępie do polskich archiwów i bibliotek, a to z tej prostej przyczyny, że władze państwowe i partyjne nie widziały powodu, aby czynić w tym względzie utrudnienia. Pozostaje pytanie, czy wydawnictwa chętnie publikowały książki, których przedmiotem była historia

Kościola i chrześcijaństwa. Dochodziły do mnie pogłoski o przeszkodach, na jakie z tego powodu natrafiali koledzy, nic jednak konkretnego nie umiem na ten temat powiedzieć.

Nie znaczy to, że przełom polityczny lat 1989–1990 nie odegrał żadnej roli, ale jego znaczenie polegało na czymś innym: otwarto granice, a waluta polska stała się w praktyce wymierna. Kontakty z zagranicznymi ośrodkami badawczymi, bibliotekami i archiwami istniały co prawda od 1956 r., natrafiali jednak na różnorakie przeszkody. Teraz, w zmienionej sytuacji politycznej i gospodarczej, stały się bez porównania łatwiejsze. Na przełom polityczny nałożył się przełom techniczny. Wprowadzenie kserografu, internetu i innych technik komputerowych, dających np. możliwości skanowania, ogromnie ułatwiło pozyskiwanie niedostępnej w Polsce literatury przedmiotu, a także źródeł, tych często nawet w postaci podobizn rękopisów. Wszystko to sprawiło, że mediwiści w pracach poświęconych historii Polski w coraz szerszym zakresie wykorzystują materiał zaczerpnięty z dziejów innych krajów. Dzięki temu postulat dawnych luminarzy naszej nauki, aby historię Polski uprawiać jako historię powszechną, znajduje większy niż niegdyś oddźwięk. O ile jeszcze pokolenie wstecz materiał obcy w pracach poświęconych polskiemu średniowieczu był wykorzystywany raczej tylko wyjątkowo, o tyle teraz stało się to praktyką stosunkowo częstą.

Jeżeli zatem w ankiecie „Kwartalnika Historycznego” pada pytanie o najważniejsze osiągnięcia badawcze polskiej historiografii w ostatnim trzystoletniu, to skłonny byłbym wskazać właśnie na owo rozległe spojrzenie obejmujące różne kraje przy uwzględnieniu różnych horyzontów chronologicznych, niekoniecznie odpowiadających badanemu horyzontowi polskiemu. Widoczne jest to w historii Kościoła — może najwyraźniej — ale przecież także w historii społecznej czy historii kultury. Niekiedy mamy do czynienia z metodą porównawczą *sensu stricto*, częściej z przedsięwzięciami zakrojonymi na skromniejszą skalę, co nie znaczy, że poznawczo mniej cennymi: interpretacja tekstu narracyjnego, analiza symboliki władzy, rekonstrukcja kształtu i funkcjonowania instytucji kościelnych itp., przy czym wykorzystanie materiału obcego — źródeł i faktów — ma istotne znaczenie w procesie dowodzenia. Nie jest to tylko ilustracja.

Redakcja „Kwartalnika Historycznego” zachęca do podania tematów, którymi powinna się w najbliższych latach zająć historiografia polska. Odpowiadam na to pytanie z pewnym wahaniem. Ostatecznie tematyka badań rodzi się z aktualnego doświadczenia badawczego, a doświadczenia każdy historyk ma własne. Skłonny jednak jestem sądzić, że historycy powinni podjąć zagadnienia podstawowe dla zrozumienia dziejów Polski. Powinni sobie odpowiedzieć np. na pytanie o wewnętrzne ograniczenia,

na jakie nasz kraj natrafiał w przeciągu wieków. Podajmy kilka przykładów. Kiedy rzucimy okiem na średniowiecze, to stwierdzimy, że po początkowym i krótkotrwałym blasku rządów Mieszka I i Chrobrego zapanowała szarżyzna. Wyrażała się ona m.in. niezwykle skromną produkcją literacką w języku łacińskim (o literaturze w języku narodowym nawet nie wspominam). Jako przykład miarodajny uznać można kronikarstwo i hagiografię, gatunki charakterystyczne dla europejskiego średniowiecza. Ta szarżyzna trwała przynajmniej do XIV w. włącznie. Sytuacja zaczęła się być może zmieniać w XV w. Zdaję sobie sprawę, że ocena polskiego średniowiecza, którą sformułowałem, jest zbyt jednostronna, niemniej problem pozostaje. Trzeba postawić pytanie, czy zagadnienie to da się wyjaśnić poprzez proste odwołanie się do zapóźnienia związanego z faktem, że państwo polskie powstało dopiero w X w. i w związku z tym dopiero wtedy weszło w obręb cywilizacji pisma. A może istniały też jakieś inne strukturalne przeszkody, z którymi borykać się musiała polska kultura intelektualna?

Ten kwestionariusz badawczy można, a nawet trzeba rozszerzyć na okres Rzeczypospolitej szlacheckiej. Nie będę się zatrzymywał przy pytaniu, często przecież w przeszłości stawianym, o wewnętrzne słabości polityczne, które przy całej jej świetności Rzeczypospolitą obciążały i które w jakimś przynajmniej stopniu przyczyniły się do jej upadku. Zwróć natomiast uwagę na kwestie rzadziej wysuwane. Dlaczego w ciągu XVI w. nauka polska straciła kontakt z nauką europejską? Ujmując sprawę inaczej — dlaczego w Polsce Kopernik nie miał swojego następcy? Sądzę, że mamy prawo być dumni z naszej architektury barokowej. Nie można jednak nie zauważyć, że architektami, którzy wzniesli te wspaniałe budowle, byli niemal wyłącznie cudzoziemcy. Wydaje się, że wyjaśnienie tego faktu może ujawnić występowanie ważnych dla zrozumienia społeczeństwa Rzeczypospolitej barier rozwoju. I wreszcie trzecia rzecz: dlaczego polska naukowa historiografia powstała, z grubsza rzecz biorąc, sto lat później niż na Zachodzie? Tego rodzaju pytań można i trzeba postawić więcej.

Trzeba jednak mieć świadomość, że badania prowadzone w tym duchu, czy to konkretnie nad wskazanymi — przecież tylko przykładowo — tematami, czy to nad innymi podobnie pomyślanymi, wymagają od historiografii polskiej zmiany stylu pracy. Nasza historiografia musi wyzbyć się swojej największej wady, jaką jest nadmierna skłonność do przyczynkarstwa. Należy oczekiwać, że będzie częściej niż w ostatnich czasach formułowała sądy o zjawiskach i strukturach, nie tylko o poszczególnych wydarzeniach. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że bez solidnie zrekonstruowanych wydarzeń nie można mówić o historii, a jakiegokolwiek uogólnienia nieoparte na materiale faktograficznym

są pozbawione naukowego znaczenia. Wiem także z własnego doświadczenia, jak historykowi trudno w praktyce badawczej oderwać się od szczegółu. A przecież jest to konieczne, jeżeli my, historycy chcemy mieć coś ważnego i ciekawego do powiedzenia.

Redakcja „Kwartalnika Historycznego” stawia pytanie, czy jest w historiografii Polski miejsce na syntezy. Wydaje mi się, że odpowiedź już dałem. Badania w naszej dziedzinie powinny służyć syntezie, co nie znaczy, że muszą powstawać prace o charakterze ściśle syntetycznym. Łatwo sobie wyobrazić rozprawy — a właściwie nie trzeba sobie wyobrażać, bo takie rozprawy są — w których szczegółowe analizy źródłowe zwieńczone są wnioskami uogólniającymi o dużej nośności poznawczej. Jednocześnie powinny powstawać podręczniki akademickie, które przecież także mają charakter syntetyczny, choć ich celem nie jest oryginalność też. Ukazywać się powinny podręczniki ciągle nowe, przynajmniej co pokolenie, aby zdać sprawę z postępu badań, w tym także z nowych pól naukowej eksploracji.

Na koniec chciałbym poświęcić kilka słów funkcji, jaką historiografia powinna pełnić w naszym świecie. Jest to ostatni z problemów podniesionych przez Redakcję „Kwartalnika Historycznego”. Problem to obszerny, toteż podzielę się tylko kilkoma uwagami na ten temat. Zacznijmy od równie napuszonego co banalnego sformułowania, że uczyć o przeszłości należy w tym celu, aby ludzie łatwiej odnajdywali się we współczesnym świecie. Zilustrować to nie trudno. Na przykład pod adresem Polski i Polaków pada wiele zarzutów w kontekście wydarzeń z okresu II wojny światowej. Zarzuty te mają duże konsekwencje polityczne i społeczne, a i kwestii ekonomicznych też nie należy usuwać z pola widzenia, gdyż za wspomnianymi oskarżeniami idą niekiedy roszczenia materialne. Polacy zatem muszą określić, czy i komu są coś winni. I tutaj nieodzowna jest rola historiografii, która musi ustalić, jak właściwie było — zadanie dla nauki historycznej klasyczne, ale jakże społecznie i politycznie ważne. Nie jest to też w tym wypadku zadanie proste, mimo że dla czasów II wojny światowej źródeł — zdawałoby się — jest w bród.

Polska coraz bardziej zbliża się do świata zachodniego, toteż jego problemy stają się dla niej coraz mniej obce. Jesteśmy teraz świadkami masowych protestów pod hasłem *Black Lives Matter*. Wychodząc z niepodlegającego dyskusji faktu, że Europejczycy i Amerykanie europejskiego pochodzenia w czasach nowożytnych handlowali czarnymi niewolnikami i wykorzystywali ich siłę roboczą, uczestnicy wspomnianych protestów przychylają się czasem do stanowiska rasistowskiego. Uznają mianowicie, że biali ludzie są źli i ten ich zły charakter wiąże się z ich kolorem skóry. Tak w każdym razie wynika z niektórych deklaracji.

Racjonalna dyskusja z najbardziej zagorzałymi zwolennikami tego ruchu jest oczywiście niemożliwa, można natomiast i trzeba zwrócić się do opinii publicznej z propozycją rozważenia argumentów. Wśród nich powinny być również historyczne, a te są przecież w zasięgu ręki. Niewolnictwo było w dziejach ludzkości niestety zjawiskiem często występującym, a właściciele i handlarze niewolników mieli skórę o różnych kolorach. W czasach nowożytnych dużą rolę w handlu żywym towarem odgrywał świat arabsko-muzułmański, wyróżniający się w tym procederze już od wczesnego średniowiecza. Z drugiej zaś strony ruch abolicjonistyczny narodził się — *sit venia verbo* — w świecie białego człowieka. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że na Zachodzie dyskusja nad tymi tematami nie jest łatwa z powodu tzw. poprawności politycznej, ale także dlatego, że rządy niektórych demokratycznych państw promują przekonanie, iż niewolnictwo było czymś charakterystycznym właśnie dla takich krajów jak Francja czy Anglia. Pomijają zupełnie świadomie, kierując się względami politycznymi i ideowymi, znaczenie handlu arabsko-muzułmańskiego. Stanowisko to znajduje wyraz nawet w aktach ustawodawczych. Wszystko to utrudnia opartą na faktach debatę i sprawia, że sytuacja historyka staje się mało komfortowa. W skrajnych przypadkach grozi mu nawet postępowanie sądowe.

Trzeba jednak podkreślić, że w opiniotwórczych tygodnikach francuskich dostrzeżono obecnie (czerwiec–lipiec 2020) problem i podjęto dyskusję nad kwestiami rasy i niewolnictwa, broniąc przy tym prawdy i zdrowego rozsądku. Wśród argumentów na pierwszym miejscu są fakty historyczne. Widać zaniepokojenie tą nową postacią rasizmu. Ale też widać, jak wielką rolę do odegrania w dzisiejszym świecie ma uprawiana przez nas nauka.

Lektura francuskich tygodników jest pouczająca także z innego powodu. Pozwala mianowicie wyrobić sobie opinię, jakie miejsce zajmuje historiografia w dyskusjach publicznych. Za przykład weźmiemy tygodnik lewicowo-liberalny „L’Express”. Trzeba od razu stwierdzić, że w ciągu ostatnich kilku lat historia „wydarzeniowa” zniknęła z jego łamów niemal całkowicie. Nie zauważyłem, aby w 2019 r. poświęcono uwagę traktatowi wersalskiemu mimo przypadającej okrągłej rocznicy. Nie można jednak powiedzieć, żeby historia w ogóle w tym tygodniku się nie pojawia.

Oto w numerze z 26 marca 2020 r. znajduje się wywiad z Laurentem Testotem, specjalistą w zakresie historii globalnej, poświęcony politycznej roli epidemii w dziejach. Testot zwraca m.in. uwagę na to, że ludność euroazjatycka dzięki zapoczątkowanej przed tysiącami lat hodowli zwierząt uodporniła się w znacznej mierze na choroby zakaźne. Inaczej

się rzeczy miały w Ameryce prekolumbijskiej. Indianie hodowli nie rozwinęli, w rezultacie byli podatni na różnego rodzaju zarazy. Wyjaśnia to zdumiewające sukcesy konkwistadorów. Armie Azteków i Inków były bezsilne w sytuacji, gdy ich wojownicy, ustawieni w szyku bojowym, padali nie od broni Hiszpanów, lecz od czarnej ospy przywleczonej z Europy. Straszliwe epidemie, które spadły na Indian, spowodowały zmniejszenie ich populacji o 90 proc., co z kolei zmusiło kolonizatorów do sprowadzania Murzynów jako siły roboczej. Osobnym podjętym przez historyka tematem jest kolonizacja kontynentu afrykańskiego, która rozpoczęła się późno, ponieważ Europejczycy nie umieli sobie radzić z żółtą febrą i malarią w jej najbardziej złośliwej odmianie.

I jeszcze jeden przykład spośród kilku, które się nasuwają. W numerze z 18 czerwca 2020 r. streszczono rozmowę z historykiem Joelem Mokyrem. Teza zasadnicza, która wyłania się z tej rozmowy, brzmi następująco: zarysowująca się od XVII w. przewaga Europy w zakresie postępu gospodarczego i intelektualnego nad innymi regionami świata w ostatecznym rachunku za przyczynę miała jej rozbitcie polityczne. Sprzyjało ono konkurencji, a nawet zmuszało do niej, gdy tymczasem konfucjańska cywilizacja chińska, funkcjonująca w obrębie zunifikowanego państwa, popadła w stagnację.

Pouczone jest to, że zainteresowanie opinii publicznej historią występuje wówczas, gdy historycy podejmują zagadnienia generalne — takie, które są ważne dla zrozumienia zjawisk o wielkim i długotrwałym zasięgu. Obaj badacze w gruncie rzeczy nawiązują, mniej lub bardziej bezpośrednio, do pojęcia cywilizacji. I na podejmowaniu zagadnień ogólnych polega jedno z zadań, przed którymi stoi historiografia. Ale żeby móc to zrobić — i tu powracamy do kwestii poruszonej wyżej — polscy historycy, nie rezygnując z drobiazgowych studiów analitycznych, muszą odważyć się na wielkie tematy. Będzie z tego płynęła także inna korzyść, a mianowicie możliwość współpracy z innymi naukami humanistycznymi i społecznymi. Ich przedstawiciele na pewno nigdy się nie zafascynują interpretacją *Dagome iudex*, mogą się natomiast zainteresować zjawiskiem sławizacji olbrzymich połaci Europy Środkowej i Południowej we wczesnym średniowieczu, które w okresie rzymskim słowiańskimi nie były.